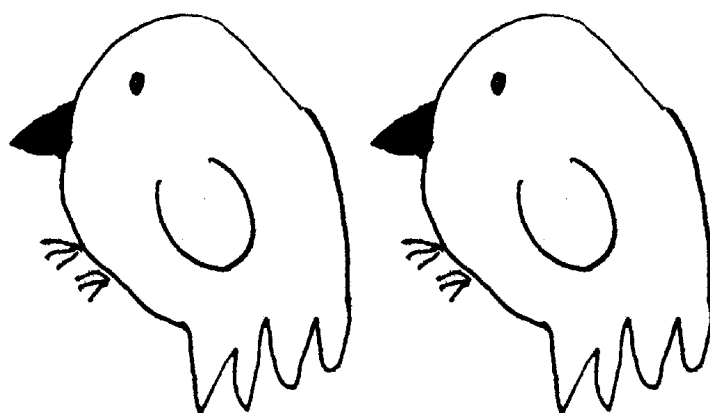


aist siergiejew

# TRZNADLE



Tytuł oryginału: овсянки

Autor: Denis Osokin

ISBN 978-83-944471-2-0

© for the Polish edition by Instytut Filologii Rosyjskiej i Ukraińskiej

Poznań 2019

Przekład prozy:

Adrianna Bajan, Piotr Braszak, Elżbieta Fludra,  
Monika Kolas, Natalia Olszewska, Anna Maria Węglowska

Przekład wierszy:

Piotr Braszak, Elżbieta Fludra

Redakcja prozy:

Krzysztof Tyczko, Denis Osokin

Redakcja wierszy:

Krzysztof Tyczko

Słowniczek na końcu książki:

Denis Osokin (wybór, opracowanie)

Krzysztof Tyczko (przekład, redakcja)

Rysunek na stronie tytułowej:

Ania Osokina

Pomysł, koordynacja i przygotowanie tekstu do publikacji:

Krzysztof Tyczko

Wydawca:

Instytut Filologii Rosyjskiej i Ukraińskiej  
na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

al. Niepodległości 4, 61-874 Poznań

[ifros.home.amu.edu.pl](http://ifros.home.amu.edu.pl)

Niniejszy tekst powstał w ramach zajęć z przekładu artystycznego prowadzonych w Instytucie Filologii Rosyjskiej i Ukraińskiej na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w roku akademickim 2018/2019.

Autorzy wraz z Koordynatorem serdecznie dziękują Denisowi Osokinowi za okazane wsparcie i wyrażenie zgody na publikację przekładu, a także Dyrekcji Instytutu Filologii Rosyjskiej i Ukraińskiej – za otwartość i przychylność.

Z *Trznadłami* w języku rosyjskim czytelnik może zapoznać się pod adresem: [polutona.ru//books/osokin.pdf](http://polutona.ru//books/osokin.pdf)

\*

cztery miesiące temu na ptasim targu w kostromie kupiłem trznadle. nigdy wcześniej ich tam nie widziałem. listopad wyciągał się za połowę. padał śnieg, chociaż rzeki jeszcze nie zastygły. cytrynowo-szare ptaszki patrzyły na mnie gniewnie. sprzedający je staruszek wychwycił mój wzrok i bezbarwnym głosem wymówił: trznadle. pokręciłem się w zadumie po stoiskach, poprzeciskałem wśród wesołych i płaczących dzieci, dobrodusznym i nerwowym dorosłych, podszedłem i poprosiłem o nie. trzysta rubli za jedną jedyną parę na rynku. wzięłem mieszanki zbożowej za pięćdziesiąt rubli i owalną, dość dużą klatkę za pięćset. trznadle to przecież niezłe grubasy. nie zięby albo czyże.

wracałem do domu koleją. nie zamierzałem kupować ptaków. poza tym w przyozdobionej stolicy naszego obwodu byłem zupełnie w innym celu. ale miałem trochę wolnego czasu i nie miałem dokąd pójść. lubię ptasie targi. trznadle mnie przyciągnęły, wszak listopad jest miesiącem zakupów, wiem o tym doskonale. koniec roku to jarmark cudów. trzeba być wtedy bardziej impulsywnym, zdecydowanym. berety artystów i kapelusze magów spadają na nasze głowy wraz z pierwszym śniegiem. osobiście zawsze z radością podstawiam swoją. wyczekuję listopada z niecierpliwością.

\*

mieszkam w niej. to jedno z tych miast, o których nikt nie myśli. rzeka niej, las kostromski. między wołogodzkiem a wiatskim lasem. niej wpada do unży. ale trzeba przyznać – mamy też linię kolejową. sto lat temu wybudowano tu stacyjkę, którą w 1958 nazwano miastem. w połowie drogi z niej do kostromy, nad brzegiem jeziora galickiego, stoi bardziej okazały galicz mier'skij, a na północ od galicza – jezioro czuchłomskoje i miasto czuchłoma. piękne

nazwy, pozostałość po meri – fińskim plemieniu, które, jak wiadomo, około czterystu lat temu ostatecznie rozplynęło się wśród słowian. niegdyś to były ich północne peryferie. północ zawsze pamięta dłużej. wielu ludzi tutaj wciąż uważa się za meryjczyków. języka meryjskiego oczywiście nie znają, czasem jednak za pomocą rosyjskich słów przekazują nieutracony meryjski sens, przez co mowa brzmi charakterystycznie. na przykład rozmawia dwóch starszaków z szuszkodomu lub szarji, słuchawki od mp3 zwisają im z kołnierzyków: – masz wrzecionicę? – nie. – a nastia? – nastia to nie wrzecionica, po prostu wesola jest... najwidoczniej słowem tym określano tu ukochaną. dziś jednak nikt nie pamięta, jak ono brzmiało po meryjsku.

tak, ludzie tutaj są dziwaczeni. twarze bez wyrazu jak surowe racuchy, włosy i oczy niewiadomego koloru, głębokie i ciche dusze. rozwiązłość seksualna, ale bez buchających namiętności. częste rozwody, zabójstwa i samobójstwa nie posiadają oczywistych przesłanek. pieśczoła jest zawsze nagła, ekstatyczna i wyobcowana... wszystko jak w starych etnograficznych książkach o ugrofinach! jest tutaj wiele domów dziecka i szkół z internatem dla niepełnosprawnych, zabytków zaś nie ma prawie wcale. rzeki, wąskie i czyste niczym biodra dorastających dziewcząt, pełne brzęku owadów i popiskiwania malutkich ptaków: wochtoma – wiga – unża – weksa – szacza – miera – poksza – nieja – mieża – mieza – łuch – kus' – waja – szuja – sogoża – leża...

tartaki i celuloza. zapach wnętrzości drzewnych razy dym lokomotyw spalinowych – oto formuła przykładowo miasta nieja. przyjezdnym nie do końca się tutaj ufa, aczkolwiek miejscowi tego nie pokazują. nasze kobiety starają się nie wyjeżdżać stąd za mężczyznami. mężczyźni tym bardziej – żyją, gdzie się urodzili. sam niegdyś straciłem wrzecionicę, bo chciała mieszkać w petersburgu. uczyliśmy się razem w szkole fotografii. była petersburżanką, mieszkała nad kanałem obwodnym. tak strasznie płakaliśmy,

gdyśmy się żegnali. my, meryjczycy, bardzo kochamy nasze niewiadome nikomu miasta i wsie.

\*

właśnie tam wiozłem trznadle w pustym wagonie. gdy dojechałem, była już noc. mżyło. ciemnymi chodnikami doszedłem do domu. zdjąłem buty, włączyłem w pokoju światło. trznadle dęsały się. nie ma co – powiedziałem im. odwróciły się ode mnie. nalałem im wody do poidelka. nasypałem ziaren. rozebrałem się i położyłem.

\*

całą noc oglądałem długi film pod tytułem „uziuk”. akcent na ostatnią sylabę. radował mnie, potem trwożył. nie miałem jednak siły się obudzić. jako członek dużej i wesołej grupy „najlepszych artystów kraju kostromskiego” w filmie tym wybrałem się na festiwal do portugalii. jechaliśmy wygodnym autobusem, chyba neoplanem. zatrzymywaliśmy się w różnych miastach, rozstawialiśmy i pokazywaliśmy każdy swoją twórczość. karmiono nas, pojono, witano z orkiestrą, cieszą się z naszej obecności. lato było wyjątkowo skwarne, przychodzące popatrzeć na nas dziewczęta nie nosiły biustonoszy. wśród uczestników również było wiele cudownych dziewcząt. przyjaźniliśmy się, dotykaliśmy, śmialiśmy, kiwaliśmy głowami, gestykulowaliśmy. czuliśmy się swobodnie i lekko. przemieszczaliśmy się na zachód, ale ciągle po rosji. pstrokata zagranica była przed nami. z kraju wyjeżdżaliśmy nie przez obwód smoleński, co byłoby oczywiste, ale z jakiegoś powodu wąskimi, nierównymi, pustymi, regionalnymi drogami przez obwód briański. stykały się tu niejasno białoruś, ukraina i rosja. nie wiedzieliśmy, do którego dokładnie sąsiada lada moment wjedziemy. na granicy poproszono nas z rzeczami do hangaru na kontrolę celną. nastał już zmrok. tradycyjnie zachciało mi się do toalety, dobrze, że akurat była na miejscu. rozsiadłem się więc

i postanowiłem, że za jednym zamachem wypełnię deklarację. tymczasem do pomieszczenia nieoczekiwanie wbiegli jacyś ludzie – dzieci, dorośli, starsi – schwytali wszystkich moich kolegów i koleżanki razem z oficerami straży granicznej i wywlekli na zewnątrz. musiało być ich ze dwieście osób, nas było ze czterdzieści. byli jacyś nieterażniejsi. kwiecista, ręcznie tkana odzież. szarawe twarze, z których żadnej nie zapamiętałem. brodaci mężczyźni, kobiety w chustach naciągniętych na czoło. zapach miększu chleba, potu i odzieży z roślin. pomyślałem: jak jacyś skrytnicy-starowiercy z czasów łomonosowa, którzy do przyścia oddziału karnego z archangielska dokonali w pustelni leśnej samospalenia. niegroźni, nie w pełni żywi... ciągnęli moich przestraszonych kolegów i koleżanki i czule powtarzali: na uziuk... na uziuk... ich głosy były bardzo suche. zabrali wszystkich w jednej chwili. po festiwalowej publice zostały tylko przygotowane do kontroli torby, deklaracje, paszporty... ostrożnie wyostałem się z toalety, wyszedłem z hangaru i poszedłem po wieczornej ziemi. dwie kobiety niosły wodę do pobliskiej osady. zapytałem je: co to jest uziuk? odpowiedziały: wielokilometrowe błoto, miejscami zdatne do zamieszkania, to po tutejszemu. opowiedziałem o moich towarzyszach, dopiero co wywleczonych na uziuk. nie zrobią im nic złego – powiedziały kobiety. uziukowcy uwielbiają gości... nie uwierzyłem lisicom-nosiwodom. zrozumiałem, że muszę uratować naszych „najlepszych kostromskich artystów”...

\*

rankiem po mieszkaniach chodziła milicja. pod sąsiednim domem zabito mężczyznę. wszystkim podsuwali po nos fotografię ofiary. jeszcze nie myłem zębów, a już pokazują mi nieboszczyka na upiornym zdjęciu z polaroida. proszę bardzo, tydzień rozpoczęty... zmarkotniały, ścieliłem łóżko. trznadle zdawały się mówić: aist, orczyku jeden, dokąd nas przyniosłeś?

aist – rzadkie imię. oczywiście meryjskie. wszystkim się podoba. mój ojciec był poetą z sąsiedniego miasta kołogriw, drukował swoje wiersze w gazecie „głos unży” pod pseudonimem siergiejew wiesa.

ludzie nazywają mnie aist wsiewołodowicz. jestem ledwo po czterdziestce. rodziny nie mam. w życiu dopatrzyłem się tylko dwóch zrozumiałych rzeczy, są tylko dwa punkty oparcia wśród migotania i zmienności ludzkiego świata. pierwsza z nich: dziewczyna fatalnie zmienia się po pierwszym stosunku płciowym z mężczyzną. druga: jeden człowiek zawsze może zepsuć życie drugiemu człowiekowi, jeśli obierze to sobie za cel. i nie da się go zatrzymać. niezbyt piękne te punkty oparcia, ale co poradzić?

usmażyłem jajecznicę z szynką, aby na sercu zrobiło się ciepłej. ulubionymi zapachami z dzieciństwa zawsze przepędzam smutę z otaczającej mnie przestrzeni. przeżułem, wsłuchałem się, popatrzyłem na wystraszone i wyniosłe trznadłe i poszedłem do pracy.

\*

jestem fotografem w zakładach celulozowo-papierniczych w niei. nad wyraz dziwne to posłannictwo, lecz bardzo typowe dla mojego losu i otaczających mnie rodzimych krajobrazów. nieczęsto fotografuję, lecz instrukcja stanowiskowa zobowiązuje mnie do bycia stale pod rękami dyrektora, jego zastępców, głównego inżyniera i głównego technologa. siedzę więc w fabryce przez sześć do ośmiu godzin dziennie, pięć (a czasami sześć) dni w tygodniu. zazwyczaj nikt mnie nie potrzebuje. przełożeni zdają się na moją inicjatywę. i słusznie. ale od czasu do czasu któryś sobie przypomni i wtedy wołają na gwałt. przemierzam klatki schodowe, biegnę z budynku do budynku... mam osobne drzwi z napisem „fotograf”.



fotografuję poranne zebrania, spotkania z kontrahentami, firmowe uroczystości, sprzęty, próbki, jeżdżę w delegacje. prowadzę coś w rodzaju fotokroniki przedsiębiorstwa. pracę mam rozmytą, i, jak we mgle, nie widać jej końca. sam natomiast jestem wyrazistą postacią. pracuje u nas wiele kobiet z niei i okolic. niemalże wszystkie się ze mną przyjaźnią. niektóre odwiedzają mnie podczas swoich przerw obiadowych i częstują pistacjami ze śledziem. wpuszczają do pryszniców. robię tam niemożliwe fotografie. najlepsze wiszą w szerokich ramkach w moim pokoju-laboratorium. zdarza się, że zachodzą do mnie różni przełożeni i zachwycają się. mówią: ech, gdyby tak można było to powiesić na tablicach w biurze! doskonale oddaje dobre warunki pracy w zakładzie i cudności naszych papiernic-psotnic. tak mówią, lecz na powieszenie się nie decydują. ciekawe, zabawne. wszędzie mam dostęp i słowo fotograf na moich drzwiach z uwagi na atmosferę w naszym przedsiębiorstwie mogłoby znaczyć „kefaloński augur”, „mandżurski kaligraf” albo „izmirski fakir”.

\*

na portierni zakładu siedzi milicjantka zoja. aksamitna niczym siostra. przechodząc, wsadziłem mały palec do jej pomalowanych ust. zoja przygryzła leciutko, rozpięła rozporek swoich spodni, włożyła palec i, wyjąwszy go, maznęła mi nim po nosie. zamknąłem oczy i kiwnąłem. odpowiedziała mi tym samym. wszystko to oznaczało: co u ciebie, zoju? wszystko dobrze? cieszę się! zuch dziewczyna! damy radę! – witaj, aist! dzień dobry! jesteś wspaniały! uważaj na siebie!

\*

gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, włączyłem laptop i w wyszukiwarce wpisałem słowo uziuk. przeczytałem, że jest to wołokowe nakrycie kopuły kazachskiej jurty, a w tuwińskiej –

maleńka przestrzeń między wezglowiem łoża gospodarzy a lamaickim rodzinnym ołtarzem. sądząc po odnośnikach, słowo uziuk jest częścią nazw wielu sajano-ałtajskich rzek i uroczysk. geografia trochę nie ta.

dalej przeglądałbym wyszukiwania, lecz zachrząścił telefon wewnętrzny: wezwano mnie do dyrektora – mirona aleksiejewicza kozłowa.

\*

miron aleksiejewicz podał mi rękę, zapraszająco uniósł palec i wziął z parapetu nalewkę ze świdośliwy. narzuciliśmy kurtki i poszliśmy na dach. wygodnie tam jest: obrotowe fotele biurowe przysypane śniegiem, stół... popijaliśmy nalewkę i patrzyliśmy na listopadową, poranną nieję. oto czego się dowiedziałem: tej nocy zmarła jego żona tatiana.

dyrektor powiedział, że leży teraz w łóżku, na boku, jak ją znalazł (śpią w osobnych pokojach). młoda, nie miała jeszcze trzydziestu sześciu lat, a jednak z jakiegoś powodu się nie obudziła. czasami narzekała na „grzanie serca” – pod lewą piersią robiło jej się niemal gorąco. dyrektor poprosił, abym pomógł mu odwiedzić ją za mieszczerską porosl, gdzie spędzili miesiąc miodowy, i tam spalić. mieszczerskaja porosl – tak nazywamy gorbatow, czułe miasteczko na rzece oka, czterdzieści kilometrów od niżnego nowogrodu.

z dyrektorem nigdy specjalnie się nie przyjaźniliśmy. jednak odnosimy się do siebie dobrze, z szacunkiem. oczywiście znałem jego niepozorną, odrobinę korpulentną tanię. miło się z nią witałem... miron aleksiejewicz powiedział, że nie chce nikomu jej pokazywać, nie odwiedzie do kostnicy. chce wszystko zrobić we dwóch, ze mną. nie chce być sam. (nie mieli dzieci.) proszę, jedźmy teraz – zakończył.

trzeba przyznać, że często pali się tu po cichu swoich zmarłych. i tak być powinno. cmentarze są u nas w połowie puste, leżą tam przede wszystkim przyjezdni. w urzędzie wierzą później na słowo i wydają akt zgonu, ponieważ kłamstwo, aby na przykład ukryć przestępstwo, jest najokropniejszym grzechem: kłamca, który zasłonił się meryjskim pogrzebem, umrze bardzo szybko i w męczarniach.

kiwnąłem, bo jak inaczej. w tej kwestii faktycznie lepiej mieć pomocnika. dotychczas nie paliłem nikogo prócz swojej matki z martwo urodzoną siostrzyczką niną. (mama zmarła podczas porodu.) robiliśmy to razem z ojcem. chodziłem wtedy do czwartej klasy. pamiętam, jacy byliśmy nieważcy, dostojni. jak nam obu było śmiertelnie lekko.

(ojciec został pochowany po rosyjsku. miał drugą żonę, niemiejskową, i prosił, by jej nie zasmucać.)

\*

zeszliśmy do gabinetu. dyrektor wydał kilka dyspozycji i powiedział, że jedzie do gorbatowa, do fabryki lin, rozwiązać problemy z kontraktami na powrozy. zanocuje tam i wróci jutro, najpewniej pod koniec dnia. a jeśli wypłyną jeszcze jakieś sprawy w niższym, to może nawet pojutrze. mnie bierze ze sobą. powroźnicy z gorbatowa długo już z nami współpracują, ale wciąż są tak drobiazgowi, jakby pracowali w jakimś wojskowym instytucie naukowo-badawczym.

wyszliśmy na dwór. wsiedliśmy do czarnego mercedesa-gelendy i pojechaliliśmy po tatianę. prosił miękki, bardzo gorący śnieg.

kozłowie mieszkali w piętrowym domu przy wyjeździe z niej. wjechaliśmy na podwórze. na przyprószonych klombach jaśniały nieuschnięte kwiaty. taniusza leżała na boku w bladozielonej nocnej koszuli, bardzo krótkiej i z tasiemkami na obojczykach. miała rozchylone usta i oczy. ciemnawo-bordowe skronie. przewróciliśmy ją na plecy.

nieboszczyka trzeba od razu rozebrać. nie na długo – żeby żywi przestali się go bać. żeby smutek zamienił się w czułość. ściągnęliśmy koszulę i patrzyliśmy. miron aleksiejewicz uśmiechnął się: mój słodziak... tania leżała nie obca i nie straszna, a rozumiała i śmieszna. wydawało się nam, że jej rozchylone usta ułożyły się w uśmiech. założyliśmy z powrotem koszulę. dół podciągnęliśmy do pępka.

miron aleksiejewicz wyciągnął skądś pudełko po czekoladkach i nożyczki. w pudełku leżała różnokolorowa mulina. odciął sześć nitek, po około osiem centymetrów każda: czerwoną, żółtą, zieloną, brązową, szarą i błękitną. położył je na brzuchu żony. usiedliśmy po obu stronach i zaczęliśmy przywiązywać niteczki do jej kobiecych włosów. tak zawsze ozdabia się u nas zmarłą, jeśli tylko ma tutaj zarost. identycznie postępują przyjaciółki szczęśliwej panny młodej w bani albo podczas wieczornej kąpieli przed ślubem. wymyją. powycierają do sucha. przygotowują różnokolorowe nici. panna kładzie się lub sadowi. przyjaciółki stają dookoła. łaskoczą. żartują. robią jazgot. panna woła od czasu do czasu „oj!” albo nawet krzyczy, jeśli przyjaciółki są jej nazbyt bliskie, nazbyt psotne... jutrzejsza żona, właśnie taką dostanie ją mąż. wieczorem ściągnie nitki z włosów, zawiąże w supełek i powiesi na olsze. nitek może być wiele, do trzydziestu.

milczeliśmy. jak tania. gdy przywiązaliśmy wszystkie nici, spuściliśmy nocną koszulę, zawinęliśmy tanię w błękitną kołdrę z pościeli mirona aleksiejewicza, wynieśliśmy z domu i położyliśmy na tylnym siedzeniu samochodu. niewysoka, tania cała się tam zmieściła. miron aleksiejewicz poszedł jeszcze po poduszkę, położył pod głowę. oswobodził twarz. tania się uśmiechała.

odpaliliśmy i ruszyliśmy. tania z tyłu, my na przedzie.

\*

i nagle przypomniałem sobie o swoich trznadlach. nie będzie mnie w domu przez całą dobę, a może dwie – kto je wtedy nakarmi? poza tym coś mi niewyraźnie podpowiadało, że powinniśmy je wziąć ze sobą. miron aleksiejewicz nie miał nic przeciwko. znów przejechaliśmy przez miasto i znaleźliśmy się na mojej ulicy. wyniosłem trznadle razem z klatką. nie zapomniałem karmy. usiadłem obok dyrektora. klatkę postawiłem między nogi i ścisnąłem kolanami.

\*

miron aleksiejewicz prowadził bez pośpiechu. do miasta kadyj jechaliśmy prawie dwie godziny. dyrektor to milczał, to opowiadał różne erotyczne szczegóły z małżeńskiego życia. tak się u nas przyjęło. choć musu nie ma. mówi się o ukochanym człowieku, gdy jego ciało jeszcze nie spłonęło, to, czego przyzwoity człowiek nigdy nie powie osobom postronnym o żyjącym. ale nad umarłym można, wszak twarz opowiadającego dzięki temu jaśnieje.

każdy rodzaj relacji między palącym a spalonym wymaga swojego tematu. dzieci chowają rodziców, rodzice chowają dzieci, wnuki – babcie, siostra – brata, małżonek – małżonka... i każdy przypadek ma swój temat. nazywamy te rozmowy dymem. czasem palący pyta:

mogę dymić? ponieważ niektórzy dymu nie znoszą. jednak zazwyczaj obok palącego nie ma przypadkowych uszu i skoro zgodzono się na uczestnictwo w pogrzebie, to można dymić bez uprzedzenia. dlatego też nie chowa się u nas tłumnie, tylko w jedną lub dwie osoby. nigdy więcej niż pięć.

pamiętam, jak ojciec, gdy wieźliśmy matkę i siostrzyczkę na łódce motorowej z kołogriwu (gdzie wtedy mieszkaliśmy) na miejsce spalenia do użugi (matka z ojcem urodzili się tam, tam też wyprawili wesele), opowiadał mi takie rzeczy o matce i sobie, że ledwo dyszałem i czułem, jak z każdą sekundą robię się dorosły.

mama stała się dla mnie kimś o wiele bardziej kochanym i bliższym po tym, gdy, mając dziesięć lat, we wszystkich najczulszych szczegółach dowiedziałem się, w jaki sposób ojciec pozbawiał ją niewinności. słuchałem i słuchałem, patrzyłem na mamę – zmęczoną, nieobecną – i o nic prawie nie pytałem. tak samo słuchałem teraz swojego dyrektora. takie jest zadanie pomocnika na meryjskim pogrzebie.

\*

– aście wsiewołodowiczu, pamięta pan, jak świętowaliśmy moje pięćdziesięciolecie...? (pamiętałem, to było w kwietniu, pół roku temu. nakryliśmy w zakładowej stołówce. tania też tam była...) wypiliśmy wina i strasznie jej zapragnąłem. spojrzałem tylko, ona zrozumiała, ale oczami powiedziała, że nie wypada, że lepiej nie. tak mi się przykro zrobiło, wypiliśmy jeszcze kieliszek i poszedłem do ubikacji. dojmująco rozboleł mnie brzuch. siedziałem na sedesie i płakałem. taniusza była piękna i taka oziębła: sama nigdy nie zaczynała, nie lgnęła do mnie, nie brała za rękę... zawsze myślałem: a niech tam. i teraz też tak myślę. nawet nie próbowałem nic zmieniać. wszystko powinno być spontaniczne...

– ale jak tak spojrzeć, to czegośmy tylko z nią nie wyprawiali: wycieraliśmy sobie nawzajem tyłki, kochaliśmy się w bramach jak plebejskie dzieci, mówiliśmy sobie różne świństwa... wszystkie trzy otwory tania miała sprawne. i to ja je rozpieczętowałem. chociaż zawsze działa się to wyłącznie z mojej inicjatywy...

– gdy ją poślubiłem, miała dziewiętnaście lat. mieszkała w wochmie. była bardzo nieśmiała... na przykład było jej wstyd, że nie potrafi się malować i nie nosi jakichś takich fajnych łaszków... ale była mi taka bliska...! *stuchala się* mnie. i tyle. mówiłem: zdejmij sukienkę, zdejmij majtki, rozsuń się, o tak, spróbuj, połknij... stań tu i kołysz biodrami...

\*

trznadle jechały cicho, aż zanadto. czasem, żeby było im weselej, stawiałem klatkę na kolana. była duża i zasłaniała mi przednią szybę. przez klatkę, przez trznadle, patrzyłem na drogę...

– mironie aleksiejewiczu, spał pan z nią wczoraj wieczorem?  
– nie. pogłaskałem tylko po brzuchu i poszedłem do siebie...

\*

choruję na moczówkę, przez co nieustannie biegam do toalety. w dodatku byłem zdenerwowany. w efekcie ciągle musieliśmy się zatrzymywać. stawiałem trznadle na swoje siedzenie i wychodziłem na drogę. trzeba było kombinować, żeby cały czas stać plecami do przejeżdżających samochodów. miron aleksiejewicz, gdy tak biegałem, obracał głowę w stronę uśmiechu żony.

\*

– może je wypuścimy? – powiedział, gdy po raz kolejny wróciłem do auta. – niech jadą sobie swobodnie. tania bardzo lubiła ptaki... ale nie trzymała w domu, nie mogła znieść ich widoku w klatkach. myślałem, żeby podarować jej czaplę. swobodnie się będzie przechadzać. tyle że czaple mogą dziobnąć w kolano... a jak tylko wyobrażę sobie przebite kolano tani... odpowiedziałem: można. ale jakoś tak niepewnie. a nuż będą paskudzić albo zaczną fruwać... trznadle są płochliwe. miron aleksiejewicz roześmiał się: a więc to trznadle? nigdy wcześniej ich nie widziałem. trznadel to inaczej owsianka. zawsze lubiłem tę nazwę. panieńskie nazwisko tani to owsiankina. tania owsiankina z wochmy. w młodości tak ją nazywałem. owsiankina. albo owsianka. ale miałem na myśli kaszę... od razu otworzyłem drzwiczki klatki.

trznadle zaczęły ostrożnie podskakiwać. myślałem: o, ruscy bogowie! czyżbym po to właśnie je kupił? do orszaku żałobnego tani owsiankiny? zobaczymy, co będzie dalej. byliśmy coraz bliżej wołgi z jej wymęczonym, lecz wybudowanym wreszcie mostem. zawołżsk, a naprzeciw – kinieszma.

\*

chciałem kupić coś tani w kinieszmie. to rzeńskie, nasycone soborami miasto, z nadwożańskim bulwarem i kręcącymi się po nim taksówkami pod warkot starzejących się tatuśków-motorowców, sunących jakby z fabryki do baru albo z baru do fabryki, ma dla nas bardzo smutne i sentymentalne znaczenie. powiedzmy, jak paryż dla zwróconych w stronę zachodu europejczyków. w gruncie rzeczy to nasza poetycka stolica. wwąchujemy się w tutejsze powietrze i czujemy coś nieskończenie naszego. po polikach płyną łzy wzruszenia. po tym od razu można tutaj rozpoznać meryjczyków. naszym najważniejszym miastem są jednak koczki, czyli rostow nad



jeziorem niero. stolica we wszystkich pozostałych znaczeniach. nie płaczemy tam, lecz triumfujemy. natomiast los miasta konoplanka szczerze nas fascynuje. cieszymy się i życzymy jej, by nie zginęła. choć bez potrzeby tam nie jeździmy. czujemy się wesóło na jej prospektach, wielopoziomowych skrzyżowaniach i ruchomych schodach metra. pociąg osobowy z koczek do konoplanki przejeżdża dwieście kilometrów i przybywa na dworzec jarosławskij.

ocierając łzy, przejeżdżaliśmy przez kinieszczę. tania też by płakała. trznadle patrzyły to na nią, to na nas. poprosiłem, aby na ulicy rylejewskiej miron aleksiejewicz zatrzymał się koło sklepu z zabawkami. bardzo szybko wybrałem tam małego języka na pasku, przypominającego zegarek na rękę. pasek i język były z jakiegoś kauczuku, półprzezroczyste, bladozielone jak koszula nocna tani. po naciśnięciu na brzuch język powinien był zamigotać kolorowymi światełkami. nacisnąłem i one rzeczywiście zaczęły mu tam podskakiwać, ale momentalnie zgasły. nacisnąłem znowu, lecz migotania już nie było. wymienię go panu, jest popsuty – powiedziała sprzedawczyni. powstrzymałem ją: nie, nie. tego właśnie potrzebuję. nie będę musiał psuć sam.

\*

juriewiec przejechaliśmy górą. pożegnał nas i życzył szerokiej drogi. nie widzieliśmy, ale dobrześmy wiedzieli, że w dole za zboczami są szeregi przytulnych domów, sklepy z iwanowskimi i kostromskimi nalewkami. sprzedawczynie podobne do tani. naprzeciw juriewca znajduje się ujście naszej unży. dzwonnica stoi na placu niczym biała latarnia morska. mój język na okrytej kocem lewej ręce tani nie migotał, chociaż był włączony. trznadle to chodziły po niej, to siedziały obok. w samochodzie było pełno dymu, chociaż żaden z nas nie palił...

– nie raz nocowaliśmy w tutejszym hotelu. bardzo gorące pokoje mają. pan pewnie też? byliśmy tu jakoś zimą, młodzi jeszcze. taniusza chciała się umyć. nie było ciepłej wody, więc pobiegłem po wódkę. kupiłem cztery butelki. rozebrała się, a ja myłem ją i wycierałem hotelowymi ręcznikami. dwie butelki na ciało. trzecia na głowę. a czwartą później wypiliśmy. niech pan zgadnie, czym zagryzała? mną. wypła kieliszek i od razu do buzi. a potem normalnie z łyżki jakąś tam sałatkę. chichotała. siedzieliśmy nadzy. ona w ogóle bardzo mało i rzadko piła. ale wtedy jakoś tak się zapomnieliśmy... butelkę wypiliśmy prawie w piętnaście minut. zemdlilo nas. no ale kopiejki kosztowała, nadawała się tylko do mycia...

\*

droga przesywa na wskroś żółte miasto puczeż. zatrzymaliśmy się na głównej ulicy przy sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. miron aleksiejewicz kupił w nim trzydzieści butelek nafty. wyniósł je w czterech torbach i położył z tyłu. okazało się, że nie mieli samych trzonków, tylko całe siekiery. postanowiliśmy więc, że trzonki kupimy w bałachnie. ściemniało się. ciemniały skronie tani. trznadle dotykały ich dziobami i śpiewały: si-si-si-siii...!

całą drogę miron aleksiejewicz odbierał telefony. głównie służbowe. to z przedsiębiorstwa, to z wołogdy, z konoplanki... raz zadzwoniła nawet mama tani. kilka razy próbowała dodzwonić się do córki, chciała zapytać o jakąś bzdurę, ale bezskutecznie. miron aleksiejewicz oczywiście niczego jej nie powiedział. po kolejnym takim telefonie dyrektor coś sobie przypomniał. poszukał w komórce, a następnie mi ją podał. na wyświetlaczu było nagranie dźwiękowe. kazał mi nacisnąć start. sprecyzowałem jak to zrobić i nacisnąłem duży niebieski przycisk. z telefonu zaczęły wychodzić jakieś niewyraźne dźwięki. dyrektor wziął go ode mnie i zrobił głośniej. teraz było słychać ciamkanie i chlupot.

– proszę przyłożyć do ucha. do ucha. tak lepiej słyszeć. to tania bierze do buzi. zawsze prosiłem, żeby robiła to głośno. długo się wstydziła i krytykowała mnie, ale później uległa. tak długo to zawsze trwało. moja ciepła... dręczycielka moja...

miron aleksiejewicz przyspieszył. do mych uszu płynęły nieznośnie głośne i nieznośnie smutne dźwięki. nagranie się skończyło. puściłem je jeszcze raz i odłożyłem telefon za przednią szybę. na zewnątrz nieustannie padał mokry śnieg. mieliśmy włączone światła i wycieraczki. dyrektor płakał. zachciało mi się wyczuwać tę jego tanię za jej taką staranną czułość. okrzyki trznadli wplatały się w soczystą muzykę, płynącą z telefonu.

wciąż od nowa puszczając nagranie, po prawie godzinie dojechaliśmy do bałachny.

\*

poszcęściło nam się tutaj z trzonkami. kupiliśmy ich około osiemdziesięciu, czyli tyle, ile mieli na stanie, plus czterdzieści sztuk trzonków do łopat. przed nami leżały wieczorne mołoczai. zamierzaliśmy częściowo objechać je obwodnicą: jeśli wjedziesz do miasta przez sormowo, to zamęczysz się, próbując się z niego wydostać, tym bardziej w godzinach szczytu. mołoczai to inaczej niżny nowogród. miasto do porannych i dziennych spacerów po aromatycznych i pustych kawiarniach, do ulicznych wieczorowo-nocnych zabaw. do tańców z koniakiem od razu na wszystkich jego wiaduktach.

w samochodzie było ciemno. cykały nasze ptaki. zapytałem milczącego mirona aleksiejewicza, czy pomagał taniuszy strzyc jej miód i chleb? miron aleksiejewicz od razu się ożywił.

– drogi aiście wsiewołodowiczu! oczywiście, że tak! tylko nóg starałem się jej nie golić. bałem się zranić. a miód i chleb to zawsze razem. albo ja sam, albo tania przede mną. tak samo pachy. zaglądał pan tani pod pachy? nieco zarosły. zazwyczaj na zimę prosiłem, żeby przestawała się strzyc – na nowy rok cała zamieniała się w naszą słodką tajemnicę. skromna, młoda, piękna, ładnie ubrana, a pod spodem takie bukiety na olśniewającej bieli. wyspy trawiaste, a ja w nich jak kaczką. kiedy od dołu się w niej zanurzałem, w wyspach pod obojczykami chowałem oczy. tą jej trawą osuszałem łzy. tania wtedy myślała, że się poci. ona też mnie kochała, ale po cichu. obejmie za plecy, całuje i nie śpiewa... widział pan – włosy jej jeszcze nie zdążyły wyrosnąć jak należy, do nowego roku został ponad miesiąc...

nie przeklinamy po rosyjsku. to jest niewybaczalne. i nie pamiętamy własnych tajemnych słów. ktoś jednak kiedyś przywiózł to słowo – maniań – z bliskiego, słonecznego i pokrewnego nam języka wołogodzkiej komi. szybko się ono rozpowszechniło między meryjczykami. w komi każde dziecko wie, co to maniań i często obrywa za to po buzi od dorosłych. maniań – to słowo-kobieta. to, co jest pod brzuchem, gdzie zawiązujemy kolorowe nici, gdy kobieta wychodzi za mąż, albo gdy jest martwa. ma oznacza miód, niań – chleb. z wielką przyjemnością je przejęliśmy i mówimy „miód i chleb”. jest to dosłowne tłumaczenie z komi. można też „chleb z miodem”. widocznie meryjski termin miał podobne znaczenie.

ulice stały sznurami samochodów. zjeździliśmy te drogi, lecz miron aleksiejewicz był najwidoczniej zbyt daleko – gdzieś z żywą taniuszą. nie skręciliśmy w odpowiednim momencie w prawo i wlecieliśmy do mołoczajów. ugrzęźliśmy w nich. po przyjacielsku zamigotały nam wszystkie lampy i ciepłe okna sormowskich mieszkań, do których dopiero co wrócili zmęczeni ludzie.

\*

zapropnowałem, że skoro już tu jesteśmy, to może zajedziemy do megi? kupimy węgiel drzewny. nie nadłożymy dużo drogi. za mostem myzinskim pojedziemy na fiediakowo, a potem wrócimy nad okę i ruszymy w kierunku mieszczerskiej porosli. miron aleksiejewicz zgodził się. brzozowy węgiel leżał wszędzie, lecz widocznie dyrektor, jak i ja, chciał zajechać do hipermarketu i doświadczyć jego jaśniejąco-lodowatej atmosfery. jest tam wiele kobiet i wszystkie są żywe. jest wiele nieogrzewającego światła.

przesuwaliśmy się w milczeniu wraz z całym korkiem, wreszcie podjechaliśmy i zaparkowaliśmy od strony obi. chciałem zapędzić te dmuchane ptaki do klatki, lecz się nie zgodziły. a niech tam. owinęliśmy głowę taniuszy. zapytałem o zgodę mirona aleksiejewicza, nasypałem pełną garść karmy, a następnie rzuciłem nią o sufit. ziarna rozleciały się po całym samochodzie. jedzcie, a my idziemy.

\*

było nam tu dość przytulnie. szliśmy i szliśmy... przeszliśmy całą megę na wskroś. odpowiadaliśmy na spojrzenia młodych i sympatycznych sprzedawczyń. aby szybko poskromić głód zjedliśmy parówki w ikei. zaszliśmy do toalety, następnie ruszyliśmy w drogę powrotną. w jednym z działów dostrzegłem czarny teleskop. podszedłem. podpłynęła aromatyczna, około dwudziestoletnia dziewczyna i opowiedziała mi o nim. podziękowałem. pożegnała się. weszliśmy do obi. wzięliśmy wózek, znaleźliśmy węgiel. włożyliśmy do koszyka cztery największe worki. postaliśmy trochę do kasy. zapłaciliśmy. ruchomym chodnikiem chcieliśmy zjechać w dół, lecz nie pozwolono nam prowadzić po nim wózka – jak się okazało, przez jeden taki, wypuszczony z rąk,

niedawno zginęło tutaj dziecko. zarzuciliśmy więc jakoś na ramiona te ciężkie worki i ruszyliśmy do samochodu.

\*

za olginem zatrzymał nas patrol drogowy. twarz o kolorze surowego ciasta w garnizonowej czapce zasalutowała mironowi aleksiejewiczowi. pokazaliśmy jej swoje twarze, mniej więcej podobne. skąd jedziecie? – z niei. – dokąd? – do mieszczerskiej porosli. – co wiecie? – wrzecionicę. umarła. twarz o kolorze surowego ciasta zasalutowała raz jeszcze i zniknęła. jechaliśmy dalej. w mołoczajach i okolicy mieszka wielu meryjczyków. co drugi funkcjonariusz drogówki jest meryjczykiem. powoli, lecz konsekwentnie zajmujemy te posady, aby dniem i nocą nasze żałobne samochody jechały bez przeszkód. na drogach obwodów iwanowskiego i kostromskiego meryjczyków w mundurach i z policyjnymi lizakami jest prawie osiemdziesiąt pięć procent. pozostałe piętnaście zresztą też wie o naszych praktykach.

\*

za bogorodskiem nie pojechaliśmy dalej normalnie na worsmę, lecz ruszyliśmy w stronę mieszczerskiej porosli wąskimi drogami przez wieczorne wsie dawnej szuklinskiej muromy. kołowaliśmy, przeskakiwaliśmy niewidzialne rzeki, oświetlaliśmy reflektorami ciekłe ulice, pijanych na nich i psy. prawie że przejechaliśmy babulinkę, która upadła nam pod koła. ostro zahamowaliśmy i tania zsunęła się z siedzenia. spadłaby zupełnie, ale nie pozwoliły jej na to piękne worki z węglem. stały tuż za oparciami naszych foteli i wypełniały pustkę przeznaczoną na nogi pasażerów. mimo wszystko trzeba było zatrzymać się i poprawić tatianę. skakaliśmy na dziurach, a trznadle latały po aucie jak jerzyki. był to ostatni odcinek naszej drogi. o dziewiątej wieczorem wjechaliśmy do

mieszczerskiej porosli. gorbatow nad oką. na jego herbie kwitnie jabłoń.

\*

podjechaliśmy do sklepiku przy fabryce lin. o tej porze był już, rzecz jasna, zamknięty. miron aleksiejewicz zadzwonił do sprzedawcy sierioży i poprosił, aby ten przyszedł. sierioża przyszedł i sprzedał nam gorbatowskiej liny. przyniósł też noże. sierioża był mądry. miał prawie siedemdziesiątkę.

\*

nie można palić ciała w ciemności. nocować z tanią w hotelu również. sierioża nie zapraszał nas do siebie, zresztą nie zgodzilibyśmy się. przejechaliśmy przez gorbatow, wjechaliśmy na zbocza oki i stanęliśmy w lasku na jednym z nich. będziemy czekać do rana.

\*

słuchaliśmy radia. mieliśmy już dosyć dziennego dymu. z łatwością zasnęliśmy i tania nam się nie śniła.

\*

o w pół do piątej rano myliśmy się, polewając się nawzajem wodą z plastikowej butelki. miron aleksiejewicz miał w samochodzie pastę do zębów i szczoteczki – swoją i tani. on mył tą należącą do tani, a ja – palcem. śnieg nie padał, miejscami nawet matowiał. było ciemnawo. siedzieliśmy w samochodzie. miesiąc miodowy? ale dlaczego akurat tu?

– nie chciało się nam daleko jechać. za szkolnych czasów nie raz pływaliliśmy po oce. już wtedy tania zakochała się w tej rzece. ja też

zawsze ją darzyłem i będę darzył sympatią. wynajęliśmy dom i przyjechaliśmy tutaj po ślubie. co prawda na tydzień, nie na miesiąc. a mieszczerkaja porosl jest taka piękna! tamten październik był wyjątkowo kruchy... w sklepach i na ulicach pustki. 1990 rok. ale mieliśmy zrobione zapasy ślubne. tania miała dziewiętnaście lat. ja trzydzieści cztery. miód i chleb w nieograniczonej ilości.

\*

trznadle nieźle nabrudziły w samochodzie. jeszcze chwilę posiedzieliśmy. ptaki mnie nie słuchały, nie chciały do klatki. pilnujcie taniuszy – przykazaliśmy im i poszliśmy przygotowywać miejsce.

znaleźliśmy je szybko. polana. widać rzekę. koniecznie w pobliżu musi być rzeka, bowiem rzeka rozmywa i unosi rozpacz. wczepimy się w nią wzrokiem.

wróciliśmy i wynieśliśmy tanię w kołdrze. samochód zostawiliśmy otwarty. trznadle leciały to za nami, to przed. położyliśmy ją głową na północ, w stronę naszej niei. rozkryliśmy kołdrę. chodziliśmy parę razy w tę i z powrotem, aż wynieśliśmy wszystko, co było niezbędne. ciąłem liny. miron aleksiejewicz nieopodal otwierał naftę. butelkę po butelce. obwiązaliśmy taniuszę trzonkami. była bardzo martwa. znowu ostrożnie podciągnęliśmy sukienkę do brzucha – odsłoniliśmy ozdobione kobiece włoski: właśnie w tym miejscu będziemy podpalać. pod głowę wyłożyliśmy węgiel. ogrodziliśmy ciało węglem niby wałem. trznadle to wlatywały, to siadały na ziemi. były obok. wzięliśmy się za naftę. pierwsze dwie butelki miron aleksiejewicz wylał prosto na miód i chleb taniuszy.

zapach nafty niczym miecz samurajski przeszył powietrze i rozerwał całą naszą więź z tanią.



nie spotkamy się. meryjczycy nie mają bogów, tylko miłość do siebie nawzajem.

\*

tania kozłowa, z domu owsiankina, płonęła. skrzypiało, trzaskało, woniało. trznadle wierciły się w pobliżu. w tym pohukiwaniu miron aleksiejewicz znów włączył żywe usta i język tani. słyszeliśmy je dobrze bez względu na śpiew ogniska. potem dyrektor usunął nagranie.

\*

dolewaliśmy nafty, by z kości nic nie zostało. dosypywaliśmy węgla. spuściliśmy paliwo z auta. przynieśliśmy zapomnianą poduszkę tani i ją też spaliliśmy. podrzucaliśmy leżące na ziemi wilgotne gałęzie. syczały i mieszały zapachy. długo patrzyliśmy na leżącą w dole okę – niezastygłą naszą duszę.

\*

wszystko zrobiliśmy jak należy. kości co prawda zostały, choć niedużo. zawsze zostają, jeśli nad nieboszczykiem nie postawi się drewnianego rusztowania. nie mogliśmy jednak sobie na nie pozwolić. gdybyśmy mieszkali w leśnej wiosce i tam palili, to tak. a tu wszędzie są ludzie. wszystko trzeba robić szybko, zanim na przykład cudowne dzieci z gorbatowa nie przybiegną popatrzeć, co to za ognisko. potrafimy zachowywać przy kościach zimną krew. chociaż lepiej, żeby nic nie było, żeby został jedynie ciemny ślad na ziemi. prochy tatiany razem z główkami zgarnęliśmy kijami do jedyne go niespalonego worka po węglu, zeszliliśmy w dół i wysypaliśmy je do rzeki. za jednym zamachem oplukaliśmy się z sadzy.

jak wtedy z ojcem, po przeistoczeniu mamy i siostrzyczki w ciepły wiatr na ogniu w uzudze, byliśmy teraz, ja i mój dyrektor, spokojni, zmęczeni i żywi.

wróciliśmy na miejsca spalenia i do tego samego worka pobieraliśmy puste butelki po nafcie.

całkiem zapomniałem o trznadlach. gdzie one są? zresztą lećcie sobie do lasu, żyjcie na wolności. ale nie, trznadle były w samochodzie. uśmiechnąłem się. jakie rezolutne...

\*

nie było sensu już dymić. przesiąknęliśmy dymem na wskroś. po raz pierwszy zapaliliśmy papierosy. w gorbatowie oddaliśmy sierioży noże. do pobliskiego śmietnika wyrzuciliśmy butelki i wyczuci z sił, głodni i podnieceni pojechaliśmy dobrą drogą na worsmę. ale było nam wesoło. i rzeczywiście – śmiertelnie lekko. jedziemy do mołoczajów! do mołoczajów! umyjemy się i odpoczniemy. nie pojedziemy dziś do niei. zaszyjemy się do następnego ranka w gęstych mołoczajach. zajazd „wołżskij otkos” z kawałkiem górno-wołżańskiego bulwaru. więcej nic nam nie potrzeba. w radiu tarkan śpiewał swoją najbardziej znaną piosenkę. aǵlamadan ayrılık olmaz... pomyślałem, że nie jest turkiem, tylko kostromskim meryjczykiem, który dopiero co spalił swoją wrzecionicę. powiedziałem o tym mironowi aleksiejewiczowi. uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. nogi i ręce rwały się do tańca.

\*

minęliśmy bogorodsk. muszą być bardzo mądre – powiedziałem o trznadlach. może je o coś poprosimy? nie zastanawiając się długo, poprosiliśmy o nieśmiertelność. jest nią dla nas śmierć od wody.

każdy meryjczyk marzy o tym, by utonąć. nie wierzymy w życie po śmierci. tylko topielcy żyją dalej. w wodzie i blisko brzegu. najlepiej utonąć w rzece – nie siedzi się wtedy jak jakiś smutny karp w głuchym jeziorze, lecz porusza wraz z całym światem. woda jest życiem samym. utonąć znaczy stracić oddech z radości, czułości i tęsknoty jednocześnie. znalezionego topielca nie pali się, tylko przywiązuje kamień i oddaje wodzie. woda zamieni jego ciało w nowe, gibkie i zdolne do przeobrażeń. tylko topielcy mogą się ze sobą spotykać.

mój tato również marzył o tym, by utonąć. pewnego razu nawet przebił łodem lód i wrzucił do przerębla swoją maszynę do pisania, aby móc jej później tam używać. nie utonął jednak, mimo iż rzekę przyzywał wiele razy: kąpał się z bólami serca w zimnej wodzie, pijany wchodził na cienki lód. zachowywał się nieskromnie i w efekcie umarł inną śmiercią: przypadkowo napił się lewego alkoholu. wszystkim tak bardzo było go żal. nie można się utopić. meryjczycy sami się nie topią. to byłoby nieskromne. to byłoby zbyt po rosyjsku. to jak pędzić do raju, wyprzedzając wszystkich po kolei. cała wołga zapchana jest tymi wszystkimi ruskimi świętymi katierinami. wyniosłe idiotki. rzeka sama wybierze sobie ludzi. woda to sąd najwyższy.

utoniesz to utoniesz. zostaniesz mieszkańcem brzegów i wody. a jak nie utoniesz, to będziesz spalony albo zakopany. i znikniesz na zawsze.

\*

taka cisza panowała w „wołzkim otkosie”. chociaż, jak się okazało, niemal wszystkie pokoje były zajęte. zapłaciliśmy za zwyczajny dwuosobowy. weszliśmy na drugie piętro. chłód tej przestronnej, płynącej nad horyzontem stalinowskiej fregaty pasował nam jak nigdy. po spaleniu taniuszy trznadle zrobiły się nadzwyczaj

posłuszne. na stacji benzynowej przed mołoczajami pozwoliły wsadzić się do klatki. kiedy wypełnialiśmy ankiety w hotelowym korytarzu, siedziały jak wypchane i nie dały personelowi ani jednego powodu do niezadowolenia. teraz też, w czystym pokoju na stoliku, grzecznie skakały po podłodze klatki. pościeliliśmy łóżka, umyliśmy się. zjedliśmy na pierwszym piętrze. rozpięci, wyszliśmy na bulwar. od razu naprzeciwko hotelu oparliśmy się o poręcz. prawie zimowa wołga leczy oczy. znowu zrobiło się ciepło i trochę śnieżnie. podeszły do nas dwie dziewczyny: a może byście nas chcieli? uśmiechnęliśmy się: bardzo dobrze, że jesteście. bardzo byśmy chcieli, ale wpierw w normalnym sklepie kupmy wina.

poszliśmy na aleksiejewską, kupiliśmy suroż i sherry, różowy portwein i kagor, każdemu do ręki po krymskiej butelce. każdemu po dwie! wodę mineralną, mandarynki. w skwerku za fontanną naprzeciwko kremla nie wiadomo po co wzięliśmy jeszcze shoarmę. dziewczyny miały na imię julia i rimma. fajne były. śmiały się, kiedy się przedstawiliśmy: miron i aist.

\*

w pokoju rozebraliśmy się i poprosiliśmy dziewczyny o to samo. było zimno, ale mieliśmy wino. jeszcze na bulwarze zaproponowaliśmy im, aby zostały na noc. ucieszyły się. nie było nam przecież żal pieniędzy. kiedy wino przestało grzać, narzuciliśmy na ramiona kołdry i kapy z łóżek. od czasu do czasu rozchodziliśmy się po pokojach. tak się przyjęło po pogrzebie. czasem jest to bardzo potrzebne. w „wołzkim otkosie” pokoje są przestronne. zwykły dwuosobowy oznacza zawsze dwupokojowy. julia była ciągle ze mną. pochodziła z kstowa. miała bardzo dziewiczy miód i chleb. jej włoski delikatnie kłuły. podcięła je rano. wyobraziłem sobie, jak w tym samym czasie my w mieszczerskiej porosli rozlewamy naftę. miód i chleb rimmy na cały pokój pachniał jaśminem. przesuwiała przy nas wonną pałeczką po zwisającej nad łechtaczką szczypcie

lśniących włosów. julia była cicha, a rimma – żwawa. gdy zobaczyła obrączkę na lewej ręce mirona aleksiejewicza, spytała: żona umarła? miron aleksiejewicz skinął: niedawno. rimma pogładziła piersią jego dłoń.

oglądaliśmy telewizję i schodziliśmy na posiłki do restauracji. personel zerkał na nas z dezaprobatą, lecz my byliśmy bardzo wdzięczni rimmie i julii. kobiece, żywe ciała to też przecież rzeki. unoszą cierpienie, poza tym można w nich utonąć. ułożyliśmy je do spania w naszych łóżkach, a sami położyliśmy się na podłodze. dziwiły się i wołały nas do siebie, ale nie szliśmy. rano przed wyjściem miron aleksiejewicz zaproponował im pracę w zakładzie papierniczym w niej. obiecał, że pomoże z mieszkaniem. julia wzięła wizytówkę, a rimma nie. powiedziała że urodziła się w niżnym nowogrodzie i tutaj zdechnie. zapłakała urażona, lecz płakać umie każdy.

\*

do widzenia, mgliste mołoczai! do ponownego, dobrego zobaczenia. zdaliśmy pokój. zajechaliśmy na dworzec rzeczny. postaliśmy przy słupkach cumowniczych. miron aleksiejewicz rzucił do wołgi obrączkę. podskoczyła na niewidocznym lodzie i wpadła do wody. w nocy schwycił mróz. nasze dusze napelniała niewiarygodna lekkość. przy czym towarzyszyła jej równie niewiarygodna tęsknota, która nie przygniatała nas, a otulała jak matka. całowała koniuszkami niewidzialnych łapek niby wrzecionica. znowu ktoś zadzwonił do mirona aleksiejewicza. z rozmowy zrozumiałem, że trzeba szybko wracać do zakładu, a jutro z rana jechać do starych uli, czyli do jarosławla, i coś podpisywać. zapytałem dyrektora: będę potrzebny? odpowiedział: nie, aist, do końca tygodnia odpoczywaj. podaruj trochę szczęścia swoim trznadlom.

\*

do widzenia, sormowo. jeśli kiedyś kupię w mołoczajach mieszkanie, to właśnie tu, na północnym wylocie, w dziwnym czarodziejskim domu, trzy-, jedno-, a może dwukondygnacyjnym. podobnym do mnie...

i w tym momencie przypomniałem sobie, że dzisiejszej nocy na podłodze w „wołzkim otkosie” widziałem drugi odcinek filmu o uziuku: przyszedłem na bagna. kostromscy artyści i uziukowcy weselo jedli i pili. skoro mamy uziuk, po co nam portugalia? – krzyczały nasze dziewczyny i obejmowały uziukowskie drobne, okutane od stóp do głów panny, z zaciekawieniem studiujące ich piercing. szczerze ucieszyłem się na ich widok. i powiedziałem, że w takim razie sam udam się do portugalii. trzeba przecież uprzedzić organizatorów festiwalu, że nas nie będzie. a potem do nich dołączę. wszyscy klaskali i krzyczeli, gdy odchodziłem: przywieź wina, ile tylko pozwolą celnicy! przywieź portugalskiego wina...!

\*

grało radio. tym razem zajechaliśmy do juriewca, przejechaliśmy ulicą sowiecką od dworca autobusowego do początku zapory. pomachaliśmy latarni-dzwonnicy. posililiśmy się w barze „mołodiożnyj”. w sklepiku na końcu ulicy kupiłem balsam iwanowski „szuja”. wjechaliśmy na zaporę. otworzyłem buteleczkę. przyprószony, choć bezśnieżny późnolistopadowy juriewiec przypominał starożytne chiny. królestwo wu. albo shu. albo wei. coś wspaniałego.

również bywałem tu z kobietami. pewnego razu nawet z dwoma. a teraz patrzyłem na dom, który wówczas wynajmowaliśmy przez cały letni miesiąc. juriewiec to soczi i jałta dla meryjczyków dorzecza unży. mieszkamy jeszcze bardziej na północ – o, tam. wszyscy tu

przyjeżdżają. zapewne dlatego, że unża kończy w tym miejscu swój bieg i wpada do wołgi, ogromnej i prężnej jak ocean. inne zaś morza są nam obce.

wertowaliśmy w milczeniu swoje wspomnienia związane z tym kurortem – bliskim i barwnym. gorącym, wesołym. trznadle zaczęły w klatce. wsiedliśmy do auta i wypuściliśmy je. niech fruwać po aucie. wjeżdżając do kinieszmy miron aleksiejewicz powiedział: zniknęła moja taniusza.

\*

*wiesia siergiejew*

***grudzień***

*kołogriw 1976*

- 1    moje dwa jamniki śpią
  - 2    słyszę, że jenot zapłakał
  - 3    w kołogriwie chodzą
  - 4    dziś z rana byłem w aptece
  - 5    rzeka-unża
  - 6    na korze rysunek robię
  - 7    na dużym piętrowym łóżku
  - 8    moja užugo
  - 9    meksykańską zabaweczkę
  - 10  siedzimy sobie w „smakoszu”
-

moje dwa jamniki śpią.  
cicho uszka ich chrzęszczą.  
ponieważ te uszka  
leżą w moich pięściach.

śni mi się przyjemny sen.  
sapią pieski z obu stron.  
zamarły naczynia.  
zaniemówił telefon.

ryby patrzą w moją stronę.  
dzień już doszedł do połowy.  
w ciemnych ich akwariach –  
ulubione moje wody.

lalki ponade mną siedzą.  
kamenie nic nie powiedzą.  
żyją sobie na tych półkach  
jak długo – same nie wiedzą.

wzrok czyży we mnie utkwiony,  
z fotografii patrzy żona,  
patrzą z gliny wojownicy,  
stos prymusów od ulicy.

z kąta – rower porzucony,  
pod łóżkiem – dziad zakurzony,  
ciemno-ciemno-ciemne światło  
przez żaluzje nie przechodzi.

grudzień – śniegi roztajały.  
jestem piękny i wspaniały.



słyszę, że jenot zapłakał  
prędko się zbudziłem.  
do wielkiego, wilgotnego  
lasu wyruszyłem.

biegłem pośród mokrych drzew,  
grząłem w leśnych bagnach,  
strachowi wiary nie dałem –  
jenota szukałem.

(a jenot z całych sił  
wciąż wył, wył, wył).

w końcu patrzę – oto jest  
z krzaków sterczy głowa.  
biedak zahaczył się w nich  
kurtką swoją nową.

rozdarł sobie mocno kaptur  
i plecy odrapał.  
a do tego jeszcze w błoto  
aż po pas się zapadł.

uwolniłem więc pechowca.  
tylko skąd wziąć nitki?  
chodź, jenot, nie płacz, idziemy,  
pożycz nam ritka.

miasteczko mamy nieduże,  
a w około puszcza.  
każdy wie, gdzie tutaj mieszka  
wiesa – dobra dusza.

ritka chętnie dała nam  
igłę i niteczki.  
wszystko raz, dwa zszyliśmy.  
zjedli cukiereczki.

w plecy gościa wtarli krem,  
żeby nie bolało.  
jenot ruszył w las z powrotem  
znów zdrowy i cały.

z szafy klarnet wyciągnąłem  
i grałem mu, grałem.  
tuż przy oknie sobie stałem,  
tak się z nim żegnałem.

3.

w kołogriwie chodzą  
kozy i kozłeta.  
chodzą także łosie  
chodzą też łosięta.

chłopcy i dziewczynki  
jeżdżą na skuterach.  
a nasi najmłodszy –  
na swoich rowerach.

wężowe rodzinki  
siedzą po kałużach.  
kretom z kreciátkami  
ich towarzystwo służy.

żadne leśne zwierzę  
w sen tu nie zapada,  
za to wszyscy w kołogriwie  
robią maskaradę.

w przedszkolu dostają  
najróżniejsze stroje.  
i wychodzą na ulicę  
w szampańskim nastroju.

oto dudka z olchy,  
a tu – dudka z gliny.  
wraz z nastaniem listopada  
mamy święto zimy.

4

dziś z rana byłem w aptece  
po kilogram jarzębiny,  
wziąłem też trochę mydlnicy  
i jeszcze suchą kalinę.

szaroty błotnej niemało  
sporo macierzanki też,  
i ptasiego rdestu trochę,  
znamion kukurydzy pęk.

trochę pąków młodej sosny  
oraz brusznicowe liście,  
miętę, Inicę, kwiaty lipy,  
wrotycz i plamisty storczyk.

korzenie mniszka, owoce

jałowca pospolitego,  
i jeszcze ze dwieście paczek  
ziela wszelakiego.

wszystko do domu przyniosłem,  
i zagotowałem.  
aby zapach lata był  
bardzo mocno chciałem.

5

rzeka unża...  
a w niej raki i ryby  
noszą znajome imiona:  
ania i losza, kira i pasza...  
rzeka unża...  
rzeka unża...

śpi pod lodem  
skójka tatiana,  
okoń sierioża woli ruch.  
tylko nie tykaj  
naszej mormyszki  
bo będzie bolał cię brzuch.

zejdę niebawem  
do was z łóżkiem i szafą,  
wezmę też okrągły stół.  
będziemy się bawić,  
weselić i gadać  
pod lodem będziemy zasiadać.

kto wie, może mądra

gadziogłówka lenka  
mocno pokocha mnie.  
a może stary  
chruścik arsienka  
ze mną zaprzyjaźni się.

rzeko unżo,  
pływaki, pluskwiaki,  
czekajcie, szybko minie czas.  
do juriewca pojedę,  
oddam tekst do gazety...  
a tymczasem pozdrawiam was...

6

na korze rysunek robię  
na nim rzeka, nad nią miasto.  
prom na boku odpoczywa  
na śniegu jak na piasku.

na łodzie siedzą wędkarze.  
ja wędkować nie zamierzam.  
stoję w kuchni, na patelni  
grzyby z grochem sobie mieszam.

pelikany w górze skrzeczą,  
nad dachami stadem lecą.  
wołogodzkie zoo zapewne  
wypuściło je na wieczór.

na mojej korze jest także  
klacz nad wejściem na herbie.  
ten budynek to muzeum

tam spodoba tobie się.

kowalik straszy jamnika.  
to jest kołogriwski zags –  
w grudniu tutaj dają nawet  
po cztery śluby na raz.

dziad sanki kupuje.  
straż zbója pilnuje.  
poli korę podaruję,  
co trzydziestkę dziś świętuje.

7

na dużym piętrowym łóżku  
całe życie chciałem spać.  
trzeba do gorkiego jechać  
lub samemu poskręcać.

a potem, wedle nastroju  
spać na górze lub na dole.  
jednak chyba do kostromskich  
„naszych mebli” zerknąć wolę.

albo jeszcze inny pomysł:  
lepiej jechać do kirowa.  
jako dziecko tam widziałem,  
lecz mi nikt nie sprezentował.

mógłbym robić na tym łóżku  
milion różnych cudnych rzeczy...

zaraz, przecież jakieś meble

mają u nas, w „naszym świecie”!

zadzwoń tam, a najlepiej  
skocz, samemu zobacz.

tyle lat mam,  
gdzie ty jesteś  
łóżko moje? co to znaczy?

8

moja użugo!  
rzut kamieniem od kołogriwu.  
na twoich ulicach  
jest tak pusto i urokliwie.

tutaj się urodziłem.  
do tej pory stoi dom.  
wycinają las. lecz  
nic tu nie idzie na złom.

wejdę do stołówki.  
wezmę wdech i wyjdę.  
tu całowałem przy wszystkich  
narzeczoną – lidę.

nie, nie narzeczoną  
świeżo upieczoną żonę...

cisza książką w rękach kasjera  
została naruszona.

meksykańską zabaweczkę  
przysłał mi kubański druh.  
stary trzewik przypomina.  
dźwięk w niej rodzi wody ruch.

jest zabawka z grubej gliny.  
wygląd – jakby ledwo co  
odkopał ją archeolog  
i zakrzyknął: ojoj!

w miejscu, gdzie winna być pięta  
sterczy otwór na wodę,  
a gdzie nosek – twarz dziewczęca,  
lecz smutną ma urodę.

nie wiedziałem, co z nią zrobić.  
druh dopiero mi napisał,  
żebym wody do niej nalał,  
spojrzał w oczy, zakołysał.

wlałem więc połowę szklanki  
i ostrożnie zabujałem.  
aż zdziwiony stółek skrzypnął –  
panna cicho zajęczała.

jęczy cicho, jęczy gorzko,  
jęczy czysto i żałośnie...  
nie od razu zrozumiałem,  
co za cudo otrzymałem!

przez otworki niewidzialne  
z kącików ogromnych oczu



na mój brzuch leją się łzy  
i nie jestem przez to zły!

meksykańska panna odtąd  
godzinami w moim łóżku  
słodkie łzy na mnie wylewa  
łzy spływają do garnuszka.

gdy się kończą, to natychmiast  
nową ich porcję dolewam.  
a garnuszek napłakany,  
wynoszę, do muszli zlewam.

10

siedzimy sobie w „smakoszu”.  
mamy nastrój do zabawy.  
za oknem jedzie autobus.  
ludzie załatwiają sprawy.  
nasze plany są zgoła inne:  
sałatkę jeść i kompot pić.  
potem po parku spacerować,  
stary rok pożegnać, w nowym żyć.

---

*wiesa siergiejew*  
(*siergiejew wsiewołod stiepanowicz*)

\*

słowo nie jest ulubionym słowem meryjczyków. nawet znaczenie słowa tak nierzadko staramy się przekazać poprzez nie. nie ma mnie tu już od czterech miesięcy. ja i miron aleksiejewicz rozbiliśmy się w drodze powrotnej. trznadle nam w tym pomogły. rzuciły się z pocałunkami do oczu kierowcy. spadliśmy z mostu w kinieszmie do wielkiej meryjskiej rzeki. nie zdążyła jeszcze wówczas zastygnąć. ptaki gdzieś przepadły. może wróciły na targ. tylko na który? miron aleksiejewicz od razu wziął się za szukanie tatiany, chociaż doskonale wie, że to nie ma sensu. samochód został wyciągnięty z rzeki. a szkoda. z wielką chęcią pomieszkałbym w nim dłużej. postanowiłem więc trochę się przespacerować. zszedłem do juriewca, skręciłem na unżę i doszedłem do kołogriwu, gdzie odszukałem pokrytą mułem maszynę do pisania mojego ojca. wszedłem z nią do cichej rzeki niei naprzeciw miasta nieja. tam był mój dom. jak tu jest dobrze. na rdestnicach-wodorostach i bokach martwych ryb wystukałem tę książkę. powoli zaczyna się wiosna. wróciłem pod most w kinieszmie. to jest moje obecne miejsce zamieszkania. meryjscy topielcy sprzed tysiąca lat powiedzieli mi, że nieja znaczy owies. roześmiałem się. pilnie uczę się naszego języka. miron aleksiejewicz też. przeprowadził się do oki, zamieszkał za mieszczańską porosłą. przez rybackie przeręble chodzi na pagórek tatiany. za pasem nosi jej szczątki. meryjczycy nie mają nic więcej prócz wody i wzajemnej miłości. lód na rzece wkrótce ustąpi. dojdę do konoplanki i spróbuję umieścić to, co napisałem, w jakimś tamtejszym czasopiśmie.

\*\*\*

# SŁOWNICZEK

*Owsianka (овсянка, pol. trznadel)*

Rosyjska nazwa ptaka *Emberiza citrinella* (pol. trznadel) pochodzi od słowa „owies”. Zborze to jest ulubionym pożywieniem trznadli.

*Nieja (Нея)*

Miasto w obwodzie kostromskim nad rzeką Nieją. Około 9 tys. mieszkańców. Nazwa jest bez wątplenia meryjska, etymologia jednak została utracona.

*Kostroma (Кострома)*

Miasto w Federacji Rosyjskiej nad Wołgą. Stolica obwodu kostromskiego. Około 278 tys. mieszkańców.

*Unża (Унжа)*

Rzeka w Federacji Rosyjskiej, w obwodach wołogodzki i kostromskim, lewy dopływ Wołgi. Wpada do Wołgi na wysokości Juriewca.

*Galicz Mier'skij (Галич Мерьский)*

Miasto w obwodzie kostromskim nad Jeziorem Galickim. Około 17 tysięcy mieszkańców. W kronikach staroruskich Galicz nazywano Mier'skim (pol. meryjskim, Galicz na meryjskiej ziemi) dla odróżnienia od starszego Halicza (Галич), znajdującego się na ziemiach halicko-wołyńskich (Ukraina Zachodnia). Co ciekawe, meryjskie osady na miejscu słowiańskiego Galicza Mier'skiego są od niego starsze.

### *Czuchłoma (Чухлома)*

Miasto w obwodzie kostromskim nad Jeziorem Czuchłomskim, sąsiaduje z Galiczem Mier'skim. Około 5 tysięcy mieszkańców. Nazwa miasta i jeziora jest bez wątplenia meryjska, etymologia jednak została utracona.

### *Meryjczycy (меря, меряне)*

Najliczniejsze plemię spośród wymarłych plemion ugrofińskich (Meryjczycy, Mieszczera, Muromcy), zamieszkujących centrum europejskiej części Rosji przed pojawieniem się tam Słowian Wschodnich. Meryjczycy nie stworzyli współczesnego narodu, co więcej, w okresie opisywanym przez latopisarzy całkowicie zasymilowali się ze Słowianami, połączyli swoją krew z krwią rosyjską. Język meryjski nie przetrwał do naszych czasów. Po Meryjczykach pozostała bardzo bogata archeologia i nazewnictwo na terytorium obwodów moskiewskiego, twerskiego, władimirskiego, jarosławskiego, kostromskiego, w o ł o g o d z k i e g o , i w a n o w s k i e g o i niżnonowogrodzkiego. Hydronimy na tych ziemiach przeważnie są pochodzenia meryjskiego. Najwięcej przejawów Meri i meryjskiego zachowało się w obwodach kostromskim i jarosławskim.

### *Szuskodom (Шушкodom)*

Wieś i stacja kolejowa w obwodzie kostromskim. Około 100 mieszkańców.

### *Szarja (Шарья)*

Miasto w obwodzie kostromskim nad rzeką Wetługą. Około 24 tys. mieszkańców.

### *Wrzecionica (Веретеница)*

*Anguis fragilis*, padalec zwyczajny (ros. wierietienica), beznoga jaszczurka z rodziny padalcowatych (*Anguidae*). Bywa, że ludzie biorą ją za żmiję, wówczas ginie z powodu pierwotnego lęku człowieka przed stworzeniami pełzającymi. Nazywanie ukochanej „wrzecionicą” zostało wymyślone przez Denisa Osokina, z czego autor jest szczególnie dumny. W języku rosyjskim nazwa tego niegroźnego zwierzęcia pochodzi od słowa „wierietieno”, pol. wrzeciono. Symbolika wrzeciona zaś – starodawnego narzędzia do ręcznego przedzenia – jest ogromna i występuje w rytuałach, folklorze, magii ludowej oraz wielu innych sferach kultury. Wrzeciono – pierwiastek kobiecy, kobiecość, bieg czasu, lekkość utraty, kruchość wszelkiego istnienia, a także Los oraz Granice Życia i Śmierci.

Polska „wrzecionica” odnosi się do nazwy *Anguis fragilis*, przytoczonej przez Konstantego Stanisława Pietruskiego, który w *Rozprawach c. k. galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego, t. II, Lwów 1847*, s. 156 opisywał faunę i florę ziemi podhorodeckiej (Ukraina, obwód lwowski, rejon skolski).

### *Archangielsk (Архангельск)*

Miasto nad Morzem Białym, na północy europejskiej części Federacji Rosyjskiej. Stolica obwodu archangielskiego. Około 350 tys. mieszkańców.

### *Aist (Аист)*

Takie imię nie istnieje ani w Rosji, ani w języku rosyjskim, ani we współczesnych językach ugrofińskich. Imię autora *Trznadli* zostało wymyślone przez Denisa Osokina. Jest ono aluzją do

meryjskiego charakteru narratora oraz do możliwej totemicznej ptasiej etymologii („aist” to po polsku „bocian”). Plus wszystkie skojarzenia, które ten ptak wywołuje w świecie słowiańskim i kulturze europejskiej. Plus tajemnica!

#### *Kołogriw (Кологрив)*

Miasto w obwodzie kostromskim nad rzeką Unżą. Około 3 tys. mieszkańców. Dla mieszkańców Kostromy Kołogriw i jego okolice to „Meryjska Szambala”, chociaż nazwa jest słowiańska, rosyjska. Praktycznie w granicach miasta znajduje się unikalny w skali europejskiej części Rosji gęsi rezerwat *Kołogriwszaja pojma* (pol. łągi kołogriwskie). Każdej wiosny zatrzymują się tutaj na odpoczynek dziesiątki tysięcy dzikich gęsi, wędrujących z Europy do Arktyki.

#### *Wiesa (Beca)*

Imię ojca Aista – meryjskiego poety z Kołogriwu – wymyślił Denis Osokin. Co ciekawe jednak, męskie imię *Wiesa* istnieje we współczesnym języku fińskim, a więc nie zostało wymyślone od zera. W dokumentach natomiast ojciec Aista ma rosyjskie imię – Wsiewołod. Sam jednak nazwał się *Wiesą*, tak też podpisywał swoje wiersze. Kryje się w tym bezpośrednia aluzja do wyrazistej meryjskiej świadomości bohatera i jego meryjskiego patriotyzmu. *Wiesa* dał swojemu synowi imię *Aist*.

#### *Papiernia w Niei (Нейский бумкомбинат)*

W Niei nie ma papierni. Budowa ogromnego zakładu celulozowo-papierniczego była tutaj w planach rządowych pod koniec lat 90. i na początku 2000.

Mieszkańcy Niei i rejonu niejskiego długo wyczekiwali pozytywnej decyzji Moskwy, żywiąc nadzieję na znaczną poprawę gospodarki regionu i nowe miejsca pracy. Do budowy jednak nie doszło, decyzja uległa zmianie. Mieszkańcy bardzo dobrze pamiętają tę historię. Nieistniejąca w rzeczywistości, lecz istniejąca w *Trznadlach* papiernia dobrze podkreśla szalenie ważne dla *Trznadli* pogranicze Świata i Antyświata, tego, co ziemskie, i tego, co pozaziemskie, realności i irrealności.

#### *Mieszczerskaja porosl (Мещерская поросль)*

Starodawna nazwa miasta Gorbatow nad rzeką Oką w obwodzie niżnonowogrodzkim. Około 2 tys. mieszkańców. Zakład powroźniczy. Uzdrowisko. Nazwa *Mieszczerskaja porosl* związana jest z dawnym ugrofińskim plemieniem Mieszczera, które wraz z plemieniem Muroma zamieszkiwało tereny nad Dolną i Średnią Oką. Mieszczera i Muroma to tak zwani Finowie znad Oki. Pozostały po nich, podobnie do Meryjczyków, znaleziska archeologiczne, toponimika i pamięć. Języki zaś się nie zachowały. Jak w przypadku ludu Meri, Finowie znad Oki byli wchłonięci przez Słowian Wschodnich podczas ich wędrówki nad Okę i Wołgę od X do XVI wieku, co oznacza, że obecnie są częścią współczesnych Rosjan. Najbliższymi krewnymi ludów Meri, Mieszczera i Muroma spośród współczesnych ugrofinów są Erzja, Moksza oraz Górcy i Łąkowi Maryjczycy.

#### *Oka (Ока)*

Rzeka w europejskiej części Federacji Rosyjskiej. Jeden z trzech głównych dopływów Wołgi (obok

Kamy i Wetługi). Nad Oką położonych jest wiele miast. W miejscu połączenia Oki z Wołgą znajduje się Niżny Nowogród.

#### *Niżny Nowogród (Нижний Новгород)*

Miasto w Federacji Rosyjskiej nad Średnią Wołgą w miejscu, gdzie Oka wpada do Wołgi. Około 1 mln 300 tys. mieszkańców. Stolica obwodu niżnonowogrodzkiego i Nadwołżańskiego Okręgu Federalnego. Potocznie – „Niżnij”, nie „Nowgorod”! „Nowgorodem”, zgodnie z normą języka rosyjskiego, nazywany jest o wiele starszy Nowogród Wielki (Великий Новгород), znajdujący się na północnym zachodzie Rosji, nad jeziorem Ilmień. Od 1932 do 1990 roku Niżny Nowogród nosił nazwę Gor’kij (Горький) od pseudonimu urodzonego w nim słynnego pisarza Maksima Gorkiego (Aleksiej Pieszkow). Jest to największe miasto na drodze bohaterów mikropowieści. Nazywają je „Mołoczai” („Молочай”, pol. wilczomlecze) i twierdzą, że to nazwa meryjska. W rzeczywistości jest to wynalazek Denisa Osokina.

#### *Zakład powroźniczy w Gorbatowie*

Istnieje od 1863 roku. Obecnie nazywa się *Mitra S.A.*

#### *Olcha*

W niektórych współczesnych językach ugrofińskich, na przykład w komi, nazwa tego drzewa tłumaczona jest jako „drzewo dusz” (*łow pu*). Olcha darzona jest szczególnym szacunkiem wszędzie tam, gdzie rośnie – u Ugrofinów, Celtów, Słowian... Najpewniej głównie dlatego, że surowe drewno na powietrzu czerwienieje, przybierając bladokrwawy kolor.



U Ugrofinów olcha często „odpowiada” za nowożeńców, poczęcie, narodziny, przekazanie noworodkowi duszy i przyjęcie jej z powrotem po śmierci człowieka... Na przykład u Karelów drwa olchowe uważane są za najlepsze dla przedweselnej bani przyszłej panny młodej. Drewno olchy uważane jest za lekkie, a dym – za aromatyczny, co oznacza szczęśliwe przyszłe życie kobiety w rodzinie męża. Elementy weselnego rytuału w *Trznadlach* są natomiast wynalazkiem Denisa Osokina. Podobnie jak rytuał *Dymu*.

#### *Kadyj (Кадый)*

Osiedle typu miejskiego w obwodzie kostromskim. Do 1924 roku – miasto. Około 3 tys. mieszkańców. Bohaterowie *Trznadli* dawnym zwyczajem mówią o nim – „miasto”. Na herbie Kadyja znajdują się dwa pąki turzycy bagiennej (rus. osoka, ocoka), która „oznacza niżowe położenie tego miasta”.

#### *Użuga (Ужуга)*

Osiedle nad rzeką Unżą w rejonie kołogriwskim (obwód kostromski). Poniżej 500 mieszkańców.

#### *Wochma (Вохма)*

Osada nad rzeką Woczka, w pobliżu jej ujścia do rzeki Wochmy (północny wschód obwodu kostromskiego). Nazwy ugrofińskie. Około 4 tys. mieszkańców.

#### *Owsiankina (Овсянкина)*

Panieńskie nazwisko Tani pochodzi od tego samego rdzenia, co rosyjska nazwa trznadla – *owsianka*.

### *Wołga (Волга)*

Nazwa rzeki Wołgi – największej w Europie – posiada trzy główne wersje pochodzenia: słowiańską, bałtyjską i ugrofińską. Słowiańska wersja wyprowadza nazwę od *właga*, *włażnaja* (*влага, влажная*, pol. wilgoć, wilgotna); bałtyjska od *dołgaja* (*долгая*, pol. długa); ugrofińska od *bełaja*, *swietłaja*, *jasnaja*, *swiaszczennaja* (*белая, светлая, ясная, священная*, pol. biała, jaśniejąca, jasna, najświętsza). Na korzyść ugrofińskiego pochodzenia świadczą dane ze współczesnych języków (maryjski, fiński, estoński) oraz szereg podobnych toponimów na mapie Rosji w miejscach, gdzie jak i nad Wołgą, rdzenną ludnością byli dawni Ugrofinowie (na przykład rzeka Wołogda i miasto Wołogda).

### *Zawołżsk (Заволжск)*

Miasto w obwodzie iwanowskim na lewym brzegu Wołgi, naprzeciw miasta Kinieszma. Około 10 tys. mieszkańców.

### *Kinieszma (Кинешма)*

Miasto w obwodzie iwanowskim na prawym brzegu Wołgi. Około 85 tys. mieszkańców. Praktycznie wszyscy badacze są zgodni co do meryjskiego pochodzenia nazwy i najczęściej tłumaczą je jako „głęboka, ciemna woda”. Kinieszma jako meryjska stolica poetycka jest pomysłem Denisa Osokina.

### *Rostow Wielikij (Ростов Великий)*

Miasto w obwodzie jarosławskim nad jeziorem Niero. Około 30 tys. mieszkańców. Jedno z najstarszych miast na mapie Rosji – jego wiek oficjalnie liczony jest od 862 roku. Meryjczycy

bardzo gęsto zamieszkiwali przed Słowianami brzegi jeziora Niero. Tereny te były dla Meryjczyków dobrze znane i jednocześnie święte. *Koczki* (*Кочки*, pol. kępi) – meryjska nazwa została wymyślona przez Denisa Osokina.

#### *Konoplanka (Коноплянка)*

Tak bohaterowie *Trznadli* nazywają Moskwę. Konoplanka może być malutką rzeczką, której brzegi zarosły konopiami (*Cannabis*) albo ptaszkiem – makolągwą (*Carduelis cannabina*, ros. konoplanka – od konopii). Ta meryjska nazwa rosyjskiej stolicy, w czasach ludu Meri będącej malutką wioseczką, o wiele mniejszą od meryjskich osad dookoła jezior Niero i Pleszczejewo, została wymyślona przez Denisa Osokina. Jednak również nie od zera. Istnieje wersja profesora Oresta Tkaczenko, głównego specjalisty w zakresie martwego języka meryjskiego, że *Moskwa* pochodzi od meryjskiego *moska* (konopie). Badacz rekonstruuje to słowo za pomocą metod lingwistycznych i twierdzi, że dowodem na pochodzenie *Moskwy* od meryjskich *konopii* jest nazwa stolicy Rosji we współczesnym języku włoskim – *Moska*. Zdaniem Tkaczenko włoscy architekci, którzy budowali moskiewski Kreml w czasach, gdy Meryjczycy nie byli jeszcze całkowicie zasymilowani, zaczerpnęli bezpośrednio od nich nazwę i włączyli do swojego języka jako pasującą pod względem fonetyki (a nie słowiańskie *Moscow*, *Moskwa*). A więc według tej wersji *Moskwa* to konopie, miejsce konopii, zarośla konopne. Meryjczycy z *Trznadli* przypisują nazwie stolicy trochę inny sens: nie tyle konopii, ile rzeczki, płynącej w konopnych zaroślach lub ptaszka-

konoplanki, czyli makolągwy. Trudno jednak mieć stuprocentową pewność. Tak czy owak, jest w tym pewien dialog Denisa Osokina z poglądami profesora Tkaczenko, autora książki *Mierianskij jazyk* (pol. język meryjski).

#### *Dworzec Jarosławskij (Ярославский вокзал)*

Jeden z dziewięciu dworców kolejowych Moskwy. Kierunek – północ i północny wschód. Z Dworca Jarosławskiego odchodzą pociągi za koło podbiegunowe w europejskiej części, do Władywostoku, Pekinu, Ułan Bator, a więc wykonują kursy po najdłuższych trasach kolejowych. Dla wielu Rosjan Dworzec Jarosławski jest bardzo dobrze rozpoznawalnym elementem krajobrazu Moskwy.

#### *Juriewiec (Юрьевец)*

Miasto w obwodzie iwanowskim na prawym brzegu Wołgi. Około 9 tys. mieszkańców. Naprzeciw Juriewca, na prawym brzegu, do Wołgi wpada rzeka Unża – rodzima rzeka rodziców Aista Siergiejewa. Nazwa miasta jest rosyjska i pochodzi od imienia księcia Jurija Wsiewołodowicza, który w XIII wieku założył to miasto.

#### *Puczeż (Пучеж)*

Miasto w obwodzie Iwanowskim na prawym brzegu Wołgi, niedaleko Juriewca, koło Niżnego Nowogrodu. Około 7 tys. mieszkańców. Nazwa meryjska, etymologia utracona.

#### *Bałachna (Балахна)*

Miasto w obwodzie niżnonowogrodzkim na prawym brzegu Wołgi, 24 kilometry od Niżnego Nowogrodu,

wchodzi w skład Niżnonowogrodzkiej Aglomeracji. Około 50 tys. mieszkańców. Istnieją wersje słowiańskiego oraz ugrofińskiego pochodzenia nazwy.

#### *Sormowo (Сормово)*

Północno-zachodnia dzielnica Niżnego Nowogrodu.

#### *Wołogda (Вологда)*

Miasto w Federacji Rosyjskiej. Centrum obwodu wołogodzkiego. Około 310 tys. mieszkańców. W Wołogdzie i ziemi wołogodzkiej, leżącej na północ od ziem kostromskich, zaczyna się Rosyjska Północ w przestrzenno-duchowym sensie.

#### *Komi (Кomi)*

Współczesny lud ugrofiński (z grupy Finów Permskich), historycznie zamieszkujący terytorium Republiki Komi i obwodu wołogodzkiego w Federacji Rosyjskiej. Około 350 tys. osób. Najbliżsi ich krewni to Komi-Permiacy i Udmurci. Wepsowie i Komi byli historycznymi sąsiadami Meryjczyków od północy.

#### *Maniań (Манянь)*

Wagina w języku komi rzeczywiście określana jest słowem, które bez problemu można rozłożyć na dwa rdzenie: *ma* (miód) i *niań* (chleb). Jest to przede wszystkim etymologia ludowa, choć dobrze zakorzeniona w świadomości Komi. Słowo „maniań” w środowisku komi przynależy do leksyki obscenicznej. Reszta zaś jest wynalazkiem Denisa Osokina.

### *Olgino (Ольгино)*

Wieś, będąca częścią Niżnego Nowogrodu (południe). Przez Olgino przechodzi trasa na Gorbatow.

### *Bogorodsk (Богородск)*

Miasto w obwodzie niżnonowogrodzkim, 28 kilometrów na południowy zachód od Niżnego Nowogrodu, jest częścią aglomeracji niżnonowogrodzkiej. Około 39 tys. mieszkańców. Nazwa rosyjska.

### *Worsma (Ворсма)*

Miasto w obwodzie niżnonowogrodzkim nad rzeką Kiszmą (dopływ Oki), 62 kilometry na południowy zachód od Niżnego Nowogrodu. Około 10 tys. mieszkańców. Nazwy rzeki oraz miasta są całkowicie ugrofińskie (muromskie, mieszczerskie bądź meryjskie). *Worjas'ma (Ворясьма)* prawdopodobnie oznacza „ziemia wodą ozdobiona”, a *Kiszma (Кишма)* – „leśna ziemia”. Dolny bieg Oki to obszar Meryjczyków, a także pokrewnego plemienia Muroma.

### *Muromcy (Мурома)*

Pokrewne Meryjczykom ugrofińskie plemię (z Finów znad Oki, jak i Mieszczera) z podobnym losem: pełna asymilacja ze Słowianami, pełna utrata języka. Muromcy przetrwali jedynie w archeologii, toponimice oraz w podaniach. O Muromcach na mapie Rosji najwyraźniej przypomina nazwa stojącego nad Oką ponad tysiąc lat miasta Murom w obwodzie wladimirskim. „Szuklinskaja Muroma” – jest to sformułowanie Aista Siergiejewa. Wieś

Szuklino (poniżej 100 mieszkańców) leży na ich drodze do Gorbatowa. W nauce nie ma żadnego specjalnego terminu *szuklinskaja muroma*. Lecz Aist wie lepiej. Widocznie chciał powiedzieć, że jadą przez niegdysiejsze muromskie miejscowości, i on wie o nich więcej niż my.

*Wołżskij Otkos (Волжский откос, pol. stok nadwołżański)*

Słynny, stary radziecki hotel w Niżnym Nowogrodzie na ulicy Wierchniewołżskaja Naberieżnaja, kilka kroków od niżnonowogrodzkiego Kremla. Wybudowany w 1936 roku na miejscu zniszczonej cerkwi św. Jerzego Zwycięzcy. W 2006 roku, gdy trwały prace nad tekstem *Trznadli*, hotel jeszcze funkcjonował. W 2008 roku zaś – był to rok rozpoczęcia zdjęć do filmu na podstawie mikropowieści – hotel *Wołżski Otkos* przeszedł w prywatne ręce i został zamknięty, najwyraźniej na zawsze. Jego los – pełna rekonstrukcja lub całkowite wyburzenie – do tej pory jest niewiadomy. Stoi tak już 11 lat pod materiałowymi ścianami.

*Suroż (Сурож)*

Marka krymskiego wina pochodzącego z Massandrowskiej Wytwórni Win. Suroż to staroruska nazwa miasta Sudak na Krymie.

*Kstowo (Кстово)*

Miasto w obwodzie niżnonowogrodzkim, 15 kilometrów od Niżnego Nowogrodu, część niżnonowogrodzkiej aglomeracji. Około 70 tys. mieszkańców.

### *Jarosławł (Ярославль)*

Miasto w Federacji Rosyjskiej na obu brzegach Wołgi w dopływie rzeki Kotorosl. Stolica obwodu jarosławskiego (graniczy z obwodem moskiewskim). Około 610 tys. mieszkańców. Jak podają kroniki, Jarosławł był założony przez księcia Jarosława Mądryego na miejscu dużej meryjskiej osady. Na ziemi jarosławskiej przetrwało bardzo dużo legend o ludzie Meri i jego relacjach ze Słowianami. Jedna z nich mówi o walce wręcz księcia Jarosława z totemicznym meryjskim niedźwiedziem, obecnie znajdującym się na herbie miasta (książę zwyciężył i Meryjczycy ulegli). Meryjska nazwa miasta *Staryje Uli* (*Старые ульи*, pol. stare ule) to wynalazek Denisa Osokina.

### *Soczi, Jałta (Сочи, Ялта)*

Słynne kurorty nad Morzem Czarnym.

### *ZAGS (ЗАГС)*

*Zapis' Aktow Graždanskogo Sostojanija* – rosyjski Urząd Stanu Cywilnego. We współczesnym potocznym języku rosyjskim skrótowiec „ZAGS” najczęściej związany jest z weselami i ślubami. A zatem w świadomości językowej ZAGS najczęściej jest miejscem związanym z wyprawianiem wesela. To zabawne, ponieważ oprócz ślubów i rejestracji nowonarodzonych ZAGS daje rozwody i rejestruje śmierć. ZAGS w świadomości ludzi jako miejsce wstępowania w związek małżeński jest raczej cechą okresu radzieckiego w historii Rosji. Do rewolucji 1917 roku miejscem wstępowania w związek małżeński była wyłącznie cerkiew (dla



prawosławnych chrześcijan, tzn. dla miążdżącej większości mieszkańców Rosji).

### *Kirow (Киров)*

Miasto w Federacji Rosyjskiej nad rzeką Wiatką. Do 1934 roku nazywał się Wiatka. Nazwa Kirow została nadana po śmierci słynnego radzieckiego działacza Siergieja Kirowa, urodzonego na ziemi wiackiej. Stolica obwodu kirowskiego, a do rewolucji ogromnej guberni wiackiej. Około 615 tys. mieszkańców.

### *Nieja (Нея)*

W znaczeniu „owies” jest wynalazkiem Denisa Osokina. A jeśli faktycznie? Etymologia została utracona, jednak Aist wie lepiej. W końcu stał się nieśmiertelny.